Rok VI. 24 Czerwca 1934. Nr. 26

DZWONECZEK



Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie.

— Nauczycielu najdroższy,
Patrz, oto chata już blisko,
Wieczerza tam na nas czeka,
Płonące czeka ognisko ...

— Przystańcie, uczniowie mili,
Dzieciątek biegną tu rzesze,
Niechaj się na nie napatrzę,
Niechaj się niemi nacieszę!

— Nauczycielu najdroższy,
Tyś dziś zmęczony ogromnie
I nie chcesz odejść, by spocząć...?
— Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie...

Śmieją się, gwarzą wesoło,
Niby ptaszęta najsłodsze,
A gdy się które rozpłacze,
Dłoń moja łezki mu otrze?...

Stoją uczniowie w milczeniu,
Bo któżby nie słuchał Pana.
Do kolan Jezusa tłumnie
Garnie się dziatwa rozśmiana.

Szepczą maleńkie usteczka:
— Kochamy Ciebie, o Chryste!
A Jezus na jasne główki
Kładzie swe dłonie przeczyste.

M. Dynowska.

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy).

— Deszcz spłukuje to i strąca na ziemię, jak tu nieraz widziałeś. Otóż, wyobraź sobie, że zadaniem niektórych storczyków napowietrznych jest skorzystać z tych darów jak najwięcej. W tym celu wysyłają one szereg silnych korzeni, które zrastają się z sobą, tworząc różnej wielkości oczka. Przypatrz się temu, co tu wisi.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i ujrzałem wysoko pod drzewami zawieszony w powietrzu koszyk. Były to właśnie owe korzenie storczyka, które pozrastawszy się z sobą, utworzyły coś w rodzaju kosza.

— Widzisz zatem, jak mocno zrobiony jest ten kosz — mówił dalej pan Stefan. — Musi on być wytrzymałym, ponieważ ma właśnie za zadanie przyjmować w siebie ów humus. Gdybyśmy się tam mogli dostać, znalazłbyś we wnętrzu kosza nawet całe roślinki obce, lub części większych, znalazłbyś kawałki drzewa, gałązki, liście, korę i t. p. Wilgoć i napływające ciągle nowe materje wciskają niższe warstwy coraz mocniej w tę plecionkę, przetwarzanie się szczątków roślinnych w humus postępuje znacznie szybciej i dopiero w ten wytwór żyznej gleby wysoko nad ziemią, zagłębiają się życionośne korzenie storczyka, by czerpać potrzebne soki i roznosić je po całym organiźmie rośliny.

Kiedy słuchałem tych objaśnień z ust swego profesora i kiedy na miejscu przypatrywałem się temu wszystkiemu w lasach Palmalu, myśl moja, pełna podziwu, nie mogła doprawdy objąć ogromu tych cudownych urządzeń w przyrodzie; słów mi brakło na wypowiedzenie tego co czułem — i tylko w milczeniu ze czcią chyliłem kornie czoło przed wielkością i mądrością Stwórcy wszechświata.

X.

Deszcz leje, jakgdyby wszystkie chmury oberwały się nad nami. Dobrze żeśmy znaleźli schronienie na kilka dni na kolonji, posiadającej domek na palach, nietylko dachem kryty, ale jeszcze i ściankami bambusowemi osłoniony. Pan Stefan spisuje swoje notatki naukowe, ja zaś wracam do swego pamiętnika, do którego od kilku dni zasiąść nie mogłem dla braku czasu. Teraz roboty było ciągle dużo z wypychaniem ptaszków i przygotowywaniem pak do wysyłki z gotowemi okazami w bezpieczne i suche miejsce. Zresztą, odbywaliśmy polowania. Wczoraj spotkaliśmy gromadkę Ekwadorczyków na osobliwej wyprawie. Wyszukują w Palmalu miejsca, gdzie gnieżdżą się kolonje papużki gwajakwilskiej. A gnieżdżą się one — niktby nie uwierzył — w gniazdach termitów.

Białe te mrówki gorącej strefy budują sobie na dwa metry wysokie kopce mające w obwodzie aż do dwudziestu metrów. Żyją drzewem, roślinami różnego rodzaju i niszczą, gdzie się da, drewniane budowle i sprzęty. Otóż w gniazdach tych termitów osiedlają się całe kolonje papużek, które stamtąd wybierają krajowcy i sprzedają przeważnie do Gwajakwilu, a także i do innych krajów tutejszych, gdzie wszędzie trzymają tego ptaka chętnie po domach. Łatwo go wyuczyć wymawiania różnych wyrazów i naśladowania cudzych głosów Każdy z tych zielonych ptaszków umie wymawiać „perrikwito“, co jest zdrobniałą nazwą hiszpańskiego imienia Pedro, czyli poprostu Piotruś. Jest to zatem imię własne każdej z tych papużek, chowanej w domu, a krajowcy tutejsi, mówiąc wogóle o małej papudze, zawsze powiadają „perrikwito“, w przeciwieństwie do większej, zwanej „lora“. *C. d. n.*

ZA KRZYŻEM

(Ciąg dalszy).

To światło wydało mi się ogromnym krzyżem, a przed jego ramionami w pochodzie pochylały się dokoła rozłożyste stare dęby, sosny aż w same niebo sięgające. Szum wielki zrywał się z tych borów odwiecznych, a mnie się zdawało, że słyszę w nim słowa: Święty, Święty, Święty...

W tej chwili wóz otarł się z przeraźliwym zgrzytem o kamień przydrożny, aż pobudził śpiących na wozie mężczyzn. Do uszu dzieci doszło jakieś niezrozumiałe przekleństwo woźnicy, ale wkrótce znowu dawna cisza zaległa na obszernym wozie. Dzieci dźwignęły się razem, by ulżyć sobie nieco w niewygodnem leżeniu, a gdy po licznych próbach udało im się nareszcie siąść przy sobie, rozluźniwszy trochę węzeł zaciskających je powrozów, Dobrochna mówiła dalej:

— Zasłuchana w te dziwne głosy, straciłam z oczu mamę i uczułam się nagle sama z tobą tylko wśród gęstej, nieprzeniknionej puszczy. Strach nas wielki ogarnął, że drżeliśmy oboje, niby te listeczki brzozowe wśród naszego pola, gdy wiatr niemi latem zakołysał. I wtedy znowu wyrósł przed nami świetlany krzyż ogromny, który nas począł wyprowadzać z głębi ciemnych lasów. Tak wiódł on nas długo, bardzo długo, aż naraz stanął.

Ludomir zaparł oddech w piersi, by lepiej słyszeć siostrę, która mówiła tak, jakgdyby ktoś za nią przemawiał dziwnemi słowami.

— Przed nami rozciągała się inna już kraina, pełna słońca i pogody. Świetlista smuga zaczęła teraz urastać coraz bardziej w olbrzymi, nieobjęty krzyż, który powoli chylił się coraz niżej i niżej, aż wkońcu legł cicho na nieprzejrzanych polach i łąkach zielonych. Nie wiedziałam co dalej począć, gdy nagle usłyszałam twój szept: „Dobrochno" — i zbudziłam się.

Dzieci w niewolę litewską uwożone, zamyśliły się głęboko nad dziwnym snem, w milczeniu szukając smutnemi oczyma na niebie gwiazd, którym w wiosce polskiej nieraz przyglądały się w ciemne noce z progu własnej chaty.

ROZDZIAŁ II: U granic Litwy.

Gdy Dobrochna z Ludomirem otwarli oczy, słońce oddawna już mijało południe. Jak długo spali, godzinę czy dwie, noc jedną, czy dobę, lub też kilka dni z rzędu, nie wiedzieli. Czuli tylko, że po tym śnie nie są już tak strasznie bezsilni, jak wówczas, gdy na dnie olbrzymiego wozu, ściągnięci sznurami, leżeli bez odrobiny mocy w całem ciele. Teraz uwolnieni ze sznurów, znaleźli się na wygodnem posłaniu ze słomy i siana, pod strażą siwego jak gołąb starca, który co chwila mruczał niezrozumiałe wyrazy, dotykając palcami ich głowy i oczu. Gdy dzieci się poruszyły, Litwin, trzęsąc białą brodą, nachylił się nad niemi i spytał:

— Valgydinti? Valgyti, valgyti? — Wreszcie, nie mogąc się niczego dowiedzieć, spróbował porozumieć się z niemi na migi, pytając czy chcą jeść.

Ludomir potrząsnął głową, a wtedy Litwin sięgnął w głąb drewnianego naczynia, ukrytego w słomie i wydobywszy stamtąd kawał chleba i sera, podał dzieciom. Dźwignęły się sieroty z nad legowiska, siadły bliziutko siebie i podniosły do ust jedzenie. Wtem nagle nieopisany żal ścisnął ich serca. Jednocześnie obojgu stanęła w pamięci postać ukochanej matki, która z taką miłością, z łagodnym uśmiechem na twarzy, podawała im zawsze przy jedzeniu kromkę domowego chleba. Na krótkie mgnienie oka zamyśliły się nad tą niepowrotną przeszłością, potem spojrzały wzajemnie na siebie i wypuszczając z dłoni jedzenie, wybuchnęły niepowstrzymanym płaczem.

(*Ciąg dalszy nastąpi*). *Ela Oleska.*

Noc świętojańska

Zdawałoby się, że z dawnego pogaństwa w Polsce nie zostało już ani śladu. Tymczasem dużo zachowało się u nas zwyczajów, które sięgają właśnie tych bardzo odległych czasów. Oczywiście niema w nich już ducha pogańskiego, z wiekami bowiem zamieniły się już tylko w miłe zabawy ludowe, w piękne widowiska, któremi zachwycają się zarówno młodzi jak starzy. Do takich to właśnie pozostałości pogańskich należy czarodziejska noc z 24 na 25 czerwca, według chrześcijańskiego kalendarza przypadająca przed św. Janem Chrzcicielem i z tego powodu nazwana już w czasach chrześcijańskich „nocą świętojańską", gdy w wiekach pogańskich nazywała się „kupalnocką" od bożka Kupały.

Nauka określa tę dobę w roku jako „przesilenie letnie", gdyż wtedy dzień jakby się przesilał z nocą. Od tej chwili ubywać już zaczyna dnia, a przybywać nocy, aż znowu nastąpi „przesilenie zimowe" 24 grudnia, kiedy to noc przesili się z dniem, aby się zacząć coraz bardziej umniejszać znów do nocy świętojańskiej. Właśnie tę najkrótszą w całym roku nockę uważali nasi przodkowie za noc pełną czarów, dziwów i mocy nadziemskich. Palono wtedy ognie, zwane „sobótkami", puszczano wianki na wodę, szukano po niedostępnych gąszczach leśnych kwiatu paproci, który dawać miał szczęście, a kwitł jeno krótką chwilkę o samej północy.

Jak widzimy zatem, przechowały się te dawne zwyczaje aż do naszych czasów, przestały jednak zupełnie być obrzędami religijnemi, jakiemi były u pogan. Palimy więc i dzisiaj ognie sobótkowe, przez które skaczą dziewuchy i młodzieńcy, puszczamy wianki na wodę, szczególnie w okolicach, gdzie są rzeki, nie szukamy tylko pogańskiego kwiatu paproci, gdyż, jako chrześcijanie, wiemy na czem polega prawdziwe szczęście człowieka na ziemi i w czem należy je znajdować.

Przed wiekiem w uroczystościach świętojańskich uczestniczyły po wielkich miastach nad Wisłą wszystkie cechy rzemieślnicze, z których niemal każdy miał swój wianek. Można je było poznać z daleka. I tak: stolarski wianek zrobiony był z wiór poprzetykanych świeczkami; powroźniczy z konopi i sznurów; szewski z odpadków skór; krawiecki z kawałków sukna; bednarski z klepek i obręczy i t. d. Uganiała za niemi rozbawiona czeladź, chwytając je na żerdzie.

W naszych czasach odnawiają zwyczaje świętojańskie przedewszystkiem towarzystwa sportowe, głównie wioślarskie. Widzimy wtedy na Wiśle, jak n. p. w Krakowie, ukwiecone łodzie z zapalonemi lampionami kolorowemi, mnóstwo wianków płynących z biegiem rzeki, których gorejące świeczki odbijają się prześlicznie w wodzie, tworząc obraz jakby zaczarowany. Największą jednak uciechą dla wszystkich, a głównie dla młodzieży, są sztuczne ognie, których wybuchy, przypominające strzały armatnie, wstrząsają całem powietrzem dokoła. Zapalając się w chwili wybuchu, pędzą jak strzała wysoko w górę i tam dopiero rozsypują się w miljardy iskier, gwiazd, kul świetlnych, tworzą całe snopy promieni, kręcące się wiatraki, młynki i t. p. Tłumy widzów zgromadzone u brzegów rzęsistemi oklaskami nagradzają każdy piękny i udały popis, aż wreszcie powoli rozchodzić się zaczynają do domów, gdy tymczasem szara Wisełka, nieprzerwanie, jak przed wiekami, dąży wciąż dalej i dalej, by w otchłanie Bałtyku wlać swoje wody obfite.

Nadchodzi czarowna noc św. Jana i może niejednemu dziecku przyśnią się spadające gwiazdy, albo królewna Wanda, której wspomnieniu poświęcony jest dzień poprzedni.